



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Napad lamparta na zebrego.

NAPAD LAMPARTA NA ZEBRĘ.

Patrząc na rycinę naszą żałujecie niewątpliwie mili czytelnicy, tego ślicznego dzikiego konika, do którego grzbietu lampart przyczepił się z taką zjadłością?

— Biedny! już po nim! — mówicie z westchnieniem.

Ale bądźcie spokojni! Zebra to dzielna córa pustyń Afryki południowej, nie dająca się dotąd ujarzmić człowiekowi, wnet też sobie poradzi ze swym krwiożerczym napastnikiem. Podniecona bólem uniesie go ona chyżo o paręset kroków, a potem z całej siły uderzy go o ziemię, gdy zaś ten spadnie doda mu jeszcze maleńką nauczkę kopytami, jak o tem świadczą podróżnicy afrykańscy, którzy już nieraz widywali podobne walki i pójdzie dalej pokaleczona trochę, ale zresztą zdrowa i żywa.

W pustyniach Australii.

PRZEZ

Władysława Umińskiego.

(Dalszy ciąg).

O zmroku tratwa znajdowała się w miejscu, gdzie leżał placar, Tom niespokojnie wodził okiem po powierzchni jeziora; dziwiło go bowiem, że dotąd nie dosięgnięto skał, pomiędzy którymi został stary Bob.

— Nie może być, żeby je zalało, — mrucał; — to chyba gdzie dalej.

I zapalczywie robił wiosłem; tratwa pędziła szybko po zwierciadlanej toni, krążąc, wracając się...

— Czy się nie mylimy? — zagadnął Jerzy, który także niepokoić się zaczął, wprowadzić nie o placar, lecz o losy Boba.

— Nie, — odparł Dugan; — to tutaj.

Rzekłszy to, pochylił się i zapuścił wzrok w głębię. Po chwili, rozkołysana niecierpliwymi uderzeniami wiosła powierzchnia jeziora, wyrównała się znowu, i oko mogło sięgnąć w kryształowe wody, aż do samego dna.

— Tak, to tutaj! — powtórzył podróżnik, — widzę wierzchołki skał o kilka metrów pod tratwą.

Na te słowa Tom wypuścił wiosło i oburącz chwycił się za głowę.

— Gdzie, gdzie!? To nie może być, kłamiesz pan! — zawołał, rzucając się ku Duganowi.

— Spojrz więc sam!

Pastuch upadł ciężko na kolana, położył się jak długi na tratwie i wyteżył wzrok.

Światło księżyca, znajdującego się blisko zenitu, przenikało łono wód i odbijając się od żółtego piasku, na dnie, pozwalało dokładnie widzieć głębię jeziora. Tom ujrzał też czarno zielone wierzchołki skał, które niedawno sterczały o 5 metrów nad jego głową. Nie potrzeba było przypatrywać się długo, aby poznać, że w istocie, tutaj leżał placar. Abel, który także nachylił się nad wodą, spostrzegł nawet stos piasku, wyrzucony przed kilku dniami łopatą Toma.

— Cóż więc się stało z Bobem? — szepnął ze łzami, Jerzy.

— Kto wie, może udało mu się ocalić, — odparł Dugan. — No, przekonałeś się? — dodał, trącając Toma w ramię.

Pastuch jednak był jakby w osłupieniu, leżał nieruchomo, z oczyma zatopionymi w głębi wód, z twarzą nabiegłą krwią...

— Przecież widzisz, że to tutaj! — rzekł Abel. — Trudno, musisz pogodzić się z losem; widać nie sądzono ci zostać bogatym.

Tom podniósł głowę i pokręcił nią w milczeniu, poczem znów zaczął patrzeć; ręka jego zanurzona, nadawała ledwie dostrzegalny ruch tratwie; Jerzy chciał pociągnąć wiosłem, lecz on powstrzymał go znakiem.

— Tak, to tutaj, tutaj, — szeptał, — w tem zagłębiu. Ah! widzę je! — zawołał nagle, zrywając się jednym rzutem ciała na nogi. — Widzę, leżą tam pod skałą...

Pastuch nagle zrzucił z siebie kurtkę i chciał skoczyć do wody. Dugan, stojący obok, przytrzymał go za kołnierz.

— Co robisz?! — zawołał.

— Puść mnie pan, puść! — zawołał Tom, pasując się z podróżnikiem; — ja muszę wydostać moje złoto.

— Utoniesz...

— Tak, wydostanę albo utonę, — odparł.

— Nie pozwolę na takie szaleństwo! Jezioro ma w tem miejscu z ośm metrów głębokości... nie zdołasz dosięgnąć dna...

— Dosięgnę, dajcie sznura.

Dugan usiłował odprowadzić towarzysza od niebezpiecznego przedsięwzięcia, lecz ten, opanowany palącą żądzą złota, był głuchy na wszystkie przedstawienia. Poszukawszy długiego postronka, wziął go w zęby i dał nurka głową na dół.

Toń kryształowa rozwarła się na chwilę i wnet zamknęła; zmacona powierzchnia zatarła widok, który tak oddziaływał na Toma.

Podróżni z lekkim biciem serca oczekiwali powrotu pastucha. Upłynęło pół minuty, cała minuta, siedmdziesiąt sekund, zaczęto się już niepokoić, gdy wynurzyła się tuż przy tratwie głowa nurka.

— No i cóż? — zagadnęli razem Jerzy i Dugan.

Pastuch schwycił lewą ręką za belkę, prawą zaś odgarnął zmoczone włosy, które zakrywały mu oczy, odetchnął głęboko, lecz nic nie odpowiedział.

— Widziałeś co? — rzekł znów Jerzy.

— Widziałem go — szepnął wreszcie tajemniczo Tom; — leży obok worków, twarzą do góry... ręce ma zaciśnięte... i... i... patrzył na mnie...

— Ależ on zwaryował! — wykrzyknął Abel.

Pastuch rozśmiał się chrapliwie.

— Widziałem starego Boba; jeszcze trzyma worki, ho, ho, dzielny chłop z niego! nie wypuścił ich z garści, choć go woda zalała.

— Więc utonął?! — krzyknął Jerzy ze zgrozą.

— He, he, he, niby tak; chciało mu się zostać tutaj na zawsze... i dobrze zrobił.

Abel podał rękę pastuchowi i pomógł mu usiąść na tratwie.

— Nie udało ci się dosięgnąć skarbów? — zagadnął po chwili milczenia.

— Jeszcze nie, ale zaraz spróbuję znowu. O! leżą głęboko.

Powierzchnia jeziora, zmacona na chwilę przez nurka, ułożyła się wkrótce w gładką taflę, w głąb której, tak jak przedtem, przenikało światło księżycowe.

Jakaś nieprzeparta siła zaczęła ciągnąć naszych podróżników, aby zajrzeć w tajemnicze odmęty. Najprzód Abel, potem Jerzy, a nareszcie i doktor sięgnęli w głębię wzrokiem.

Tak, stary poszukiwacz leżał w istocie tam na dnie, jego postać bezwładna, tchnąca spokojem śmierci, spoczywała na miękkim łożu żółtego piasku, wśród którego świeciły niby iskry, złote blaszki i ziarna. W dłoniach zaciśniętych kurczem konania dzierżył duży worek, z którym

się nie chciał rozstać. Znać powódź zaskoczyła go znie-
nacka, zanim zdążył wdrapać się na którąkolwiek z prosto-
padłych skał, które otaczały placar.

— Widzicie go? he! — powtarzał Tom.

— Nieszczęśliwy! — rzekł Dugan.

— Ale ma złoto, a ja nie, — odparł pastuch.

— Czyż zazdrościsz mu?! Dość! Uciekajmy czem-
prędzej z tego przekłętą miejsca.

Tom potrząsnął głową.

— Poczekaj pan, — rzekł — niech spróbuję jeszcze
raz, ostatni.

— Daremnie narażasz życie!

Pastuch machnął lekceważąco ręką.

— Co mi tam spróbuję.

Dugan, widząc, że nie przeszkodzi nawpół obłąkanemu,
wzruszył ramionami.

Tom zniknął znów pod wodą, lecz tym razem nieobe-
ność jego przedłużyła się do dwóch minut. Już zaczęto
przypuszczać, że nie wypłynie, gdy zjawił się nawpół udu-
szony, z fioletową twarzą. Kiedy go wyciągnięto na tratwę,
upadł na nią bez czucia.

Abel wziął się do ratowania zuchwałego nurka. Dugan
zaś dał rozkaz, aby wzięto się do wiosł i za chwilę tratwa
opuściła miejsce, gdzie na bezużytecznych skarbach, spoczy-
wał wiecznym snem stary Bob.

Przez całą noc aż do świtu tratwa błąkała się w są-
siedztwie zatopionego placaru. Podróżnicy śledzili uważnym
wzrokiem zwierciadło jeziora, gdyż spodziewali się spostrzedz
jaką baryłkę lub puszkę, należącą do składu zabranych po-
wodnią zapasów.

Nadzieje te niezupełnie się ziściły; w samej rzeczy bo-
wiem ocalono małą tylko część prowiantu, któremu ciężar
gatunkowy nie pozwolił pozostać na dnie jeziora.

Cóż to jednak znaczyło w obec długiej podróży, jaka
czekała naszych bohaterów?

Dugan rozumiejąc niebezpieczeństwo, naglił towarzy-
szy, aby prędzej wracać do oazy. Płynięto wzdłuż wybrzeża,
i zapuszczano wzrok w ziejące otwory grot, roztwierające się
w południowo-zachodniej części jeziora.

— Czekajcie! — zawołał nagle Dugan; — zdaje mi się,
że tratwę unosi prąd.

— Co znowu?! — odparł Halm; — woda jest zupełnie
spokojna.

Podróżnik potrząsnął głową.

— Przestańcie wiosłować, — rzekł; — znajdujemy się
w tej chwili o 60 metrów najwyżej od tej tam grupy filarów,
która tworzy niby wielką bramę do pieczary; zaraz więc bę-
dziemy się mogli przekonać, czy stoimy w miejscu, czy pły-
niemy.

Abel i Jerzy złożyli w milczeniu gałęzie, i oczekiwano,
co nastąpi.

Po kilku minutach tratwa rzeczywiście zbliżyła się
znacznie ku brzegowi, kierując się widocznie ku wnijściu do
groty i prąd stawał się coraz szybszym.

— To bardzo ważne spostrzeżenie, — rzekł Dugan. —
odkryliśmy przypadkiem miejsce, w którym uchodzą wody
jeziora.

— Ale dokąd? — zagadnął Abel.

— Właśnie to należałoby zbadać; dajmy się więc uno-
sić prądowi. Kto wie, czy Opatrzność nie zsyła nam wyjścia
z krainy nadzwyczajności.

Rzekłszy to, Dugan sam pochwycił rękojeść od wiosła,
służącego za ster i, robiąc niem, utrzymywał w normalnym
położeniu tratwę.

Niebawem znaleziono się wpośród filarów pod sklepie-
niem, w szerokim korytarzu; wody jeziora dążyły tedy
w głąb jaskini z coraz większą szybkością. Dokoła zapa-
nował zmrok, tak, iż żeglarze nasi z trudnością mogli wi-
dzieć wybrzeża tej podziemnej rzeki, która ich uniosła.

— Czy macie suche gałęzie? — zagadnął Dugan.

— Są.

— To rozpalcie ogień, bo inaczej rozbijemy się o jaką
skałę.

Przy blasku płonącego chrustu, podróżni spostrzegli
z przerażeniem, że ich mały statek pędzi szybko w głąb pie-
czar, ocierając się prawie o głązy i podstawy filarów.

— Na Boga, zatrzymajmy się! — jęknął Halm. — Czy
pan chcesz, ażebyśmy potonęli w tych podziemiach!?

Wszyscy pojmwali doskonale, że doktor ma słuszość,
obawiając się jakiego wypadku; Abel, Jerzy i Dugan zaczęli
więc z całych sił robić wiosłami. Tom, który przyszedł już
do siebie po nowej przygodzie, schwyił drąg i oparłszy go
w dno kamieniste, pomagał towarzyszom.

— Czy słyszycie? — rzekł Abel, dając znak, aby na
chwilę zaprzestano pluskania wiosłami.

— Dochodzi mnie z głębi jaskini jakiś dziwny szum, —
rzekł Jerzy, nadstawivszy ucha.

— Tak, — potwierdził Dugan; — zdaje się, jak gdyby
gdzieś niedaleko huczał wodospad.

— Nie, nie, to bulgotanie i sapanie nie przypomina mi
łoskotu kaskady, lub szumu bystrzyny, — rzekł po chwili
Abel, potrząsając głową.

Pracowano usilnie, lecz tratwa, zamiast się cofać, bie-
gła wciąż naprzód i ów szum złowrogi powiększał się z każdą
sekundą.

Podróżni nasi, wobec niewidzialnego niebezpieczeństwa,
zdawali energię. Nic jednakby ona nie pomogła, gdyby
nie to, że tratwa, rzucona gwałtownym prądem, uderzyła
o jeden z filarów i utknęła pomiędzy złomami skały.

Z tego miejsca, przy blasku ogniska, spostrzeżono ze
zdziwieniem o kilkadziesiąt metrów dalej, spore jezioro, do
którego wpadała z impetem podziemna rzeka. Wody kłębi-
ły się tutaj, pieniały i szumiały, w obwodzie głębokiego lejka,
tworząc straszliwy wir, do którego za chwilę miała się dostać
tratwa.

Nasi podróżni z przestrachem spoglądali na tę ssącą,
płynną przepaść, pochłaniającą, niby legendowy smok, wody
jeziora.

Zagadka, nad której rozwiązaniem łamał sobie głowę
Dugan, wyjaśniła się teraz. Znaleziono, dzięki przypadkowi,
ujście wód, nagromadzających się w krainie grot i filarów.
Przy zwykłym poziomie, w porze suchej, gardziel ten tworzył
przepaść, prowadzącą do jakichś podziemnych galeryi, które,
być może, komunikowały się nawet z Oceanem. W zimie
zaś, kiedy skutkiem deszczów jezioro wzbierało niespodzie-
wanie i gwałtownie, był w tym pukcie upust, odprowadzają-
cy nadmiar wilgoci.

— Ni żałuję, że prąd przyniósł nas tutaj, — rzekł Du-
gan, obejrawszy okiem uczonego groźny wir. — Czy wiecie
o hipotezie, jaką postawili geografowie, celem wytłómacze-
nia suszy, która panuje w głębi piątej części świata?

— No, no! — zagadnęli razem doktor i Abel.

— Jest to przypuszczenie bardzo zuchwałe, ale nie po-
zbawione jak się przekonywam słuszości. Oto wielka sto-
sunkowo masa opadów atmosferycznych, którymi niebo da-
rzy Australię, ma wsiąkać w piaski i głęboko pod powierzch-
nią, tworzyć podziemne rzeki, które płyną wprost do Oceanu.
Tem się tłumaczy, dla czego takie długie i główne arterye,
jak Murray z Darlingiem. Cooper, Herbert, Flinders toczą
małe ilości wody.

— Podróż taką podziemną rzeką do morza byłaby bar-
dzo ciekawa, — wtrącił Jerzy.

— Ale zarazem karkołomna, i z pewnością nie wyszli-
byśmy z niej cało.

— A gdyby tak poczekać, aż wody jeziora opadną i ten
gardziel otworzy się?

— Uczyniłbym to napewno, gdybyśmy mieli dosyć ży-
wności i mogli sobie pozwolić na paromiesięczny pobyt w tej
pustyni. Niestety, musimy uciekać jaknajprędzej, bo ina-
czej kości nasze zabieleją na piaskach.

Przebywanie w sąsiedztwie podziemnego wiru nie było
bezpiecznem. Dugan, przedsięwziął więc odwrót z wnętrza
pieczary.

W dwie godziny potem, po nadludzkich wysiłkach, trawta wypłynęła na otwartą przestrzeń, a nad wieczorem wylądowano już w oazie, gdzie się pasły dwa ocalone z powodzi wielbłądy.

— Jutro powiększamy nasz statek, tak, aby wszystko się nań zmieściło i w imię Boże, ruszamy w drogę, — rzekł Dugan, kładąc się na spoczynek. — Jeżeli nie uda się nam dosięgnąć za parę tygodni żyznych okolic, to zginęliśmy bez ratunku. Przygotujcie się na wszystko, kochani towarzysze.

(d. n.)

PIANA MORSKA.

Nazwą piany morskiej określamy dwie różne rzeczy; najprzód pianę powstałą na morzu w skutek wzbudzenia fal wodnych, a po drugie, minerał lekki i kruchy, którego główne kopalnie leżą w Azji Mniejszej.

Z tej piany morskiej wyrabiają głównie fajki oraz cygarniczki, a wreszcie drobne statuetki. Minerał o którym mówimy zawiera w sobie dwa ciała; jedno z nich krzem, znamy dobrze, gdyż wchodzi w skład piasku oraz krzemieni, kamyków bardzo u nas pospolitych; drugim jest magnezja. Nie sądzimy jednak, że gdybyśmy te dwa ciała wymiesza-
li, otrzymalibyśmy pianę morską; nie, tak dobrze naśladować natury jeszcze nie potrafimy.

Pianę morską znajdujemy już na kilkanaście łokci pod powierzchnią ziemi, czasem kopać ją trzeba głębiej; jest tak miękka, że można ją krajać nożem i pokryta zwykle pokładem gliny.

Po wyjęciu z gruntu, trzeba ją obsuszyć, w lecie wystarczy tu słoneczne ciepło, w zimie wielka ogrzewana izba, gdzie bryły pozostają około dziesięciu dni, stosownie do wielkości, bo też jedne mają wielkość orzecha, inne znów ważą po kilkadziesiąt funtów.

Wszystkie bryły są żółtawo białego koloru, taką barwę mają też przedmioty z nich wyrobione, fajki jednak piankowe po dłuższem użyciu nabierają barwy prawie czarnej, pod wpływem dymu.

Najpiękniejsze wyroby z piany morskiej posiada Wiedeń i Paryż, te bowiem miasta największy prowadzą niemi handel.

SYN MARNOTRAWNY

E. Jerlicza.

(Dalszy ciąg).

Dziwił się pan Szulc, ale Lucyan wytłómaczył mu, że Knorr'owi, jako nieposiadającemu miejscowego języka, jest

trudniej z tutejszymi mieszkańcami sprawy załatwiać, co oczywiście go przekonało.

Innym znów razem, gdy Lucyan składając rachunki przed swoim zwierzeznikiem, wyręczył go w napisaniu notatki po niemiecku, pan Szulc okazał się ogromnie zdumionym.

— To pan posiada język niemiecki? — zapytał.

— Uczyłem się dawniej po niemiecku, a teraz w wolnych godzinach sam się wprawiam.

— Ładny język, bogaty język, prawda. Co? — pytał z zadowoleniem pan Szulc.

— Wyznam panu — odpowiedział śmiejąc się Lucyan, —

że nigdy nie zachwycałem się niemieckim językiem, ale ponieważ może mi się teraz przydać, więc to główna przyczyna, dla której muszę się w nim rozmiłować.

Pan Szulc zaczął się śmiać, a w parę dni potem kazał go przywołać do siebie i powiedział mu:

— No, ja panu muszę podwyższyć pensję.

Lucyan skłonił głowę.

— Dziękuję panu.

— Ja, ja — mówił pan Szulc — muszę panu podwyższyć pensję. Ja pana umówiłem początkowo do pilnowania ludzi, jako prostego... jak się to po waszemu nazywa?

— Ekonom? — podsunął Lucyan.

— Ja, ja, ekonom... Nie, jeszcze niżej.

— Może karbowy?

— A może; ja nie znam dobrze wszystkich nazw polskich. Otóż ja pana umówiłem do tej prostej roboty, a używałem go tymczasem po większej części jako komisanta, a to już wyższy stopień, więc wyższa płaca. Ale pan umiesz po niemiecku, więc pan nawet będzie mógł załatwiać moje korespondencye w tym języku. Co, będzie pan mógł?

— Nie wiem, jak pan zobaczy, to się dopiero przekona.

— Naturalnie. To mi się podoba, co pan mówi; pan nie jest zarozumiały, a to wielka rzecz. Jak ja sam sobie nie dowierzam, to się staram nauczyć; a jak ja myślę, że wszystko wiem i umiem, to się niczego już nie uczę. Więc za ten miesiąc weźmie pan pensję w stosunku trzystu rubli. A jeżeli pan zdolny będzie załatwiać korespondencye, przejdzie pan do zarządu magazynami i będzie pan brał z początku czterysta rubli, a jak pan wykaże swoje zdolności, to znacznie więcej. Cóż, zadowolony pan, czy nie?

— Proszę pana, jak pan myśli, co by pan wolał: rubla, czy dwa? — zapytał, żartując Lucyan.

— Ha, ha, ha, — śmiał się dobroduszenie pan Szulc — z pana wesół człowiek, ale młody takim być powinien.

Na początku września baraki stały gotowe. Były to schludne, drewniane domki, malowane na oleju wewnątrz i zewnątrz. Lucyan otrzymał na mieszkanie ładne, chociaż niewielkie dwa pokoiki i umieścił się zupełnie wygodnie.

Przedsiębiorstwo rozwijało się świetnie. Już z wiosną, dwa ogromne, amerykańskiego systemu piece, wypalały ka-



Korzenie drzew stanowiły trudne do przebycia zapory... (str. 360).

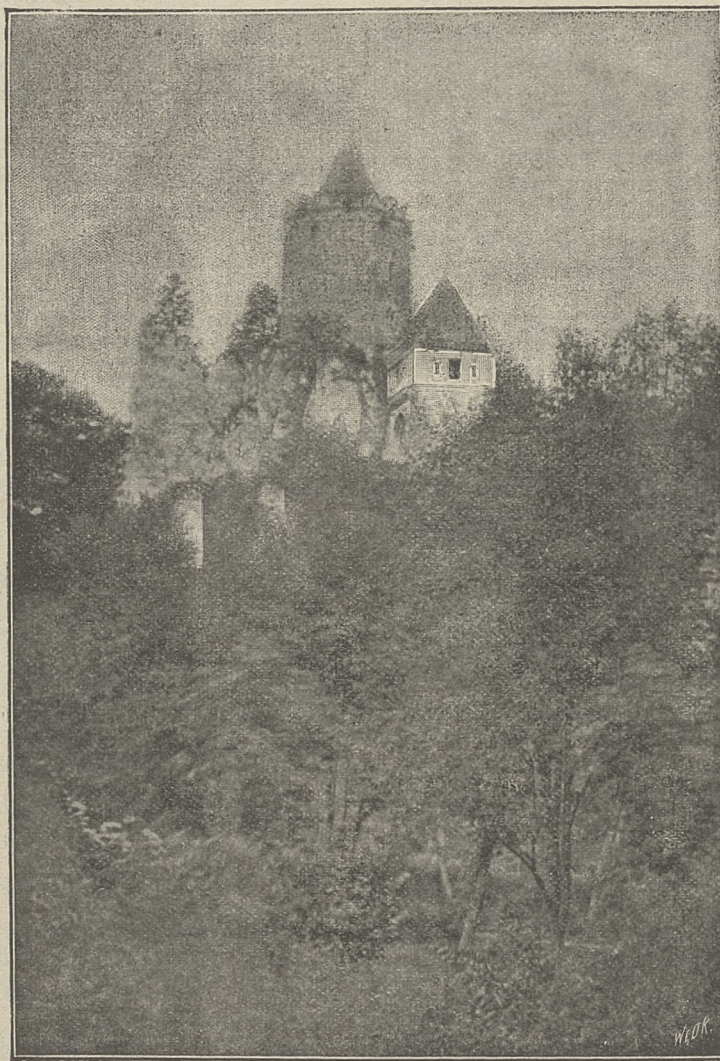
mień wapienny, wapno dostarczane koleją konną na stację, odchodziło na miejsce przeznaczenia. Lucyan wyznaczony był do wyprawiania transportów.

Pewnego dnia powrócił tylko co do swojej kwatery, kiedy za nim wsunął się jakiś człowiek, na którego spojrzawszy z uwagą, poznał w nim jednego z przedsiębiorców, który

Uśmiech gościa stał się jeszcze słodszy niż poprzednio.

— Widzi pan — zaczął mówić przyciszonym głosem — ponieważ pan będzie przy odmierzaniu towaru, więc mnie o to chodzi, żeby miara była jak się należy.

— Dziwi mnie bardzo uwaga pana — wyrzekł Lucyan



Zamek w Ojcowie.

z panem Szulcem tylko co skonstruktowali znaczną dostawę wapna.

— A co pan sobie życzy? — zapytał Lucyan.

— Czy to pan jest wyznaczony do wydawania towaru, któryśmy skonstruktowali z panem Szulcem? — zapytał na odwrót gość ze słodkim uśmiechem.

— Tak. Lecz dlaczego się pan o to pyta? — wyrzekł Lucyan zdziwiony.

seryo. — powinien pan wiedzieć, że jeżeli panu chodzi o to, aby dostarczony mu towar odpowiadał wszystkim warunkom umowy, my dbamy jeszcze bardziej o to, aby w najmniejszym względzie nie ucierpiała rzetelność firmy.

— Ależ ja o tem nie wątpię. Kiedy tu nie o to idzie. Pan mnie zupełnie nie zrozumiał — mówił gość z uśmiechem filuternym. — Można mierzyć tak, jak potrzeba, a można mierzyć lepiej. Można mierzyć, uważa mnie pan, w ten

sposób, że na każde dziesięć korcy może być, dajmy na to, nawet korzec więcej. Jeżeli nam pan każe dobrze odmierzyć, to my się będziemy znali na grzeczności, a temu, kto się nam tak przysłuży, będzie się od nas należał naddatek, rozumie pan? sprawiedliwy naddatek, całkiem sprawiedliwy. Myśmy zamówili u pana Szulca tysiąc korcy wapna. Rozumie pan?

Lucyan zrozumiał i wszystka krew uderzyła mu do głowy. Więc ten jakiś śmiał przypuszczać, że on, on! mógł zostać współnikiem oszustwa. Musiał się chwycić obiema rękami za parapet okna, tak niepoohamowaną żądzą uczuł w sobie chwycić za kark niewczesnego gościa i wyrzucić go za drzwi. Zapanował jednak nad wrodzoną sobie gwałtownością.

— Bardzo dobrze — wyrzekł spokojnie — jeżeli tylko pan Szulc zgodzi się na wydanie panu podobnej miary, ja nie będę miał nic przeciwko temu, i dlatego uprzedzę go bezwzględnie o pańskiej propozycji.

— Nie, pan nie uczynisz tego — zawołał gość z niepokojem, biegnąc do Lucyana.

— Dlaczego? — zapytał Lucyan ostro.

— No, bo widzi pan, ja... ja tylko tak zażartowałem...

— To ja radziłbym panu zaniechać na drugi raz podobnych żartów ze mną, bo ostrzegam, iż mogłyby się one dla pana bardzo, ale to bardzo smutnie skończyć.

Przyjęty w ten sposób gość nie miał naturalnie nic lepszego do zrobienia, jak wynieść się cpořędzej za drzwi, co też bezzwłocznie uczynił.

— A łotr! — wybuchnął, zostawszy sam, Lucyan. — Jak on śmiał, jak śmiał uczynić mnie podobną propozycję!

Zaczął gwałtownym krokiem chodzić po swojej izdebce, był tak wzburzony, że nie mógł się uspokoić.

— Co to za szczęście — pomyślał w duchu — że to jutro niedziela, i że będę mógł ten dzień spędzić w domu.

Sama ta myśl podzialała na niego kojąco, i już znacznie spokojniejszy, zapalił sobie lampę i rozłożył książkę, w której zagłębił się ciekawie.

Od chwili jak został pracownikiem u pana Szulca, pragnął obeznac się dokładnie pod każdym względem z gałęzią tego przedsiębiorstwa, czytał bardzo dużo w tym przedmiocie, skutkiem czego przyswoił sobie wiele fachowych wiadomości, nie znaniębując nadto poważnych studyów nad językiem niemieckim, a praca ta pochłaniała mu znaczną część nocy, ponieważ dzień należał do jego pracodawcy.

— Oh! panie — rzekł raz jednego pan Szulc, śmiejąc się po swojemu dobrodusznie — pan mnie oszukał.

— A to dla mnie bardzo pochlebne — odpowiedział wesoło Lucyan — bo oszukać pana to sztuka nielada, przypuszczam.

— Ha, ha, ha! pan mnie jednak oszukał. Ja przyjmując pana myślałem, że pan niema żadnych wiadomości, a pan prowadzi teraz prawie całą moją korespondencję i zna się pan na naszym fachu wcale niepoślednio. Pan w ciągu roku z dwustu rubli pensyi podskoczył na sześćset. To ja panu powiem, że u mnie jeszcze nikt tak w górę nie szedł jak pan. Ale teraz już chyba i pan Chorzeński kontent ze mnie. To zacny, bardzo zacny człowiek ten pan Chorzeński. Jego nasze przedsiębiorstwo tak obchodzi, jakby należał do spółki. Ja jego bardzo szanuję. A on, wie pan co? troszczy się o pana, jak o rodzzonego syna.

— Poczciwy człowiek, rzeczywiście — pomyślał w duchu rozrzewniony Lucyan.

Gdyby kto przypomniał mu był chwilę, kiedy pan Chorzeński i pani Bielińska byli dla niego „nudnemi figurami”, byłby o obrazł śmiertelnie. Po swojej rodzinie kochał najbardziej dwoje tych zacnych ludzi, których serdecznej troskliwości tyle zawdzięczał.

Od dwóch lat już Lucyan pracował w przedsiębiorstwie pana Szulca, kiedy zaszedł niespodziewanie wypadek, który wielkie wrażenie wywarł na wszystkich: pan Szulc miał atak apoplektyczny. Umiejętna pomoc lekarska zapobiegła wprawdzie smutnej katastrofie, ale atak ten osłabił bardzo chore-

go, któremu nadto lekarze zalecili odsunięcie się od interesów na czas przynajmniej kilku tygodni.

Była to smutna konieczność dla człowieka tak czynnego jak on, zwłaszcza, że sam zajmował się przedsiębiorstwem, które rozwijało się świetnie. Pan Knorr i Lucyan zostali jego zastępcami w interesach, z których biegiem byli doskonale obznajmieni. Lecz skutkiem tej właśnie okoliczności Lucynowi przybyło tak dużo zajęcia, że nawet w niedzielę przestał odwiedzać rodzinę, lub jeśli wpadł do domu to na parę godzin zaledwie.

(d. c n.)

OJCÓW.

Zapewne niejednen z czytelników naszych zna przedstawioną na rycinie naszej uroczą miejscowość, położoną w guberni Kieleckiej, powiecie Olkuskim, która bywa corocznie celem letnich wycieczek, dla licznych lubowników świeżego powietrza i niepowszednich wdzięków przyrody.

Skaliste wzgórza, głębokie groty podziemne, a nade wszystko starożytny zamek, dźwigający się obecnie z gruzów, podług dawnego planu, wprawiają w zachwycenie nawet i takich turystów, którzy wpiery już oglądali najbardziej malownicze obce strony. O grotach, wzgórzach i pieczarach ojcowskich, krążą w ustach okolicznego ludu przeróżne podania i legendy, jak również i o samym zamku, który wzniesiony pomiędzy 1290 a 1300 rokiem, zamieszkiwany był przez możne w kraju rodziny. Przechodząc następnie w ręce różnych właścicieli, Ojców ma obecnie zakład wodoleczniczy, który rozwinąwszy się z czasem, ściągnie niejednego z tych, którzy obecnie szukają polepszenia zdrowia zagranicą.

CUDOWNA WYSPA

Najnowsza powieść Juliusza Verne'a

przekład M. D.

(Ciąg dalszy).

Oczywiście organizatorem wszystkich zabaw, mających się odbyć z powodu tych zaślubin, nie może być kto inny, tylko prezes sztuk pięknych, który wprost nie posiada się z nadmiaru szczęścia, nad dziełem umięjętnych swych, choć bardzo nieznacznych zabiegów. To też czy dziwić się można, że kiedy municypalność miasta zostawiła mu swobodne pole działania zacny pan Kalikstus obiecuje urządzić takie swietności, o jakich nie marzył nawet autor „Tysiąca i jednej nocy”

Tymczasem komandor Simoe ogłasza w pismach, że w dniu uroczystym, wyspa znajdować się będzie na Oceanie między archipelagiem Fidzi i Nowemi Hebrydami, mając zastrzymać się wśród pierwszych, a mianowicie u Viti Lewu dwa tygodnie tylko.

Obecnie podróż odbywa się w warunkach jak najprzejemniejszych, a z zajęciem wielkiem obserwowane są przez wszystkich, wieloryby, które w znacznej ilości unosząc się na powierzchni wody, wyrzucają ze swych skrzelii wspaniałe wodotryski, te zaś razem wzięte tworzą jakby obszerny basen Neptuna. w porównaniu którego, fontanny Versaille'u wydają się być dziecinną zabawką tylko. Lecz obok tych niewinnych olbrzymów ukazują się też żarłoczne rekiny, idące śladem Standard-Islandu tak, jak zwykły towarzyszyć każdemu okrętowi.

Przez tę część Oceanu Spokojnego, rozdzielaając Polinezyę od Melanezyi, do której zaliczają się Nowe Hebrydy, przechodzi linia ta sama, która przecinając Paryż, uznana jest już ogólnie w tym czasie, jako południk *zero*. W tej to długości geograficznej, żeglarze jadący od zachodu winni opuścić dzień jeden w kalendarzu, gdy tym którzy przybywają z przeciwnej strony, trzeba koniecznie jeden dzień dodać, jeżeli chcą być w zgodzie z ogólną rachubą czasu. Gdy za pierwszą swej podróży Cudowna wyspa ominąwszy te strony nie potrzebowała zastosować się do tych warunków, tym razem przybywającej od wschodu wypada zamienić 22 na 23 stycznia.

Z pomiędzy dwustu pięćdziesięciu wysp, które tworzą archipelag Fidżi, zaledwie setka tylko jest zamieszkała, a ludność ogólna nie przechodzi nawet stu dwudziestu tysięcy, na obszarze dwudziestu jeden tysięcy kilometrów. Wysepki te będące po większej części odłamekami atoli lub gór podwodnych, otoczone frendzlą koralową, są jakby już częścią Australii, zależą też od Korony Angielskiej już od 1874 r. Jeżeli jednak mieszkańcy ich zdecydowali się uznać protektorat Wielkiej Brytanii, to zmuszeni byli do tego najściem Tongińczyków i długą bo od 1859 roku ciągnącą się walką z tym plemieniem, walką, której nareszcie położył koniec Pritchard z Taiti, sławny wojownik w historii tych ziem.

Obecnie archipelag podzielony na 17 obwodów, zarządzany jest przeważnie przez członków upadłej królewskiej rodziny Thokumbo.

— Czy to, że takim jest już wpływ rządu angielskiego, mówi komandor do Francolina, ale i tu podobnie jak w Tasmanii liczba krajowców z każdym rokiem upada, szczególnie daje się odczuwać mniejszość kobiet w stosunku do mężczyzn.

— W takim razie płeć piękna otoczona jest tutaj wielkiem uważaniem — odpowiada Francolin.

— Och, wszyscy oni są tylko biednymi niewolnikami, których w nadmiarze złego, trapią jeszcze przeróżne choroby; tak np. w 1875 r. zabójcza ospa wyniszczyła ich więcej nad 30 tysięcy. A jednak piękne i żyzne są te ziemie archipelagu Fidżi, bogate w owoce, jarzyny i drzewa wszelkiego gatunku, które wymagają jedynie trudu zbiorów i ich użytkowania. Między innemi tutaj właśnie rośnie najliczniej ten rodzaj palm, których rdzeń wydaje najlepsze sago.

— Ach sago! — zawołał Ponchard — jakież to przypomnienie naszego Robinsona Szwajcarskiego.

— Ze zwierząt domowych — ciągnie dalej komandor — trzoda i drób rozmnożyły się na tych wyspach w zadziwiającym stosunku; na nieszczęście tylko, krajowcy skłonni są do szkodziwego *far-mente* mimo wrodzonej żywości i bystrości umysłu...

— Nie mogę pojąć, aby przy takich warunkach...

— Cóż chcesz drogi przyjacielu, ludność tutejsza nieczem się od natury dziecka nie różni!

Podążając ku Viti Levu, Standard-Island omija Vanua Vatu, Mołę, Nganę, i wiele innych większych i mniejszych wysepki, a w czasie całej tej przeprawy otoczona jest przez istne flotyllę pirogów, które utrzymują w równowadze długie bambusowe kije skrzyżowane na środku łodzi, ułatwiając zarazem przewóz ładunku.

Wdzięk ich i szybkość biegu zabawia wzrok patrzących z wybrzeży miliardowców, nikt jednak nie odważyłby się przyjąć właścicieli ich do którego z portów pływającej wyspy, mając na względzie, iż ludność ta nie cieszy się zbyt dobrą opinią, jakkolwiek już od 1835 roku wszyscy prawie chrześcijeli z rąk misjonarzy anglikańskiego kościoła. Że jednak dawni ich bogowie mieli szczególne upodobanie do krwi ludzkiej, a za wielki grzech poczytali wszelką dobroć, to nie dziwnego, że kanibalizm był uprawiany jako czyn dobry i szlachetny, a pożarcie ciała nieprzyjaciół dowodziło tylko pewnego dla nich szacunku; człowieka bowiem, którym pogardzano, żywcem tylko palono. Za szczególny też przysmak bez którego nie było żadnej uczty, uważano w tym czasie, niezbyt jeszcze od nas odległym, pieczone i gotowane cia-

ła dzieci, a król Thakumbu dla nabrania apetytu, chętnie siadał pod drzewem obwieszonem częściami ciał ludzkich, które miał pożywać na następnej uczcie; stosownie też do wspomnień miejscowych kronik, niekiedy całe plemiona ginęły pod przewagą ludożerstwa sąsiadów.

To też jeżeli tutaj Ponchard nie spotka się z tak upragnionym przez siebie „kolorytem miejscowym” to pewno raz na zawsze wypadnie mu wyrzec się tej przyjemności.

Wyspa Viti Levu, do której zdąża Standard-Island, widoczna dla podróżnych już 25 stycznia, jest wyżyną górzystą, której wulkany w większej części wygasłe, wznoszą się do 1500 metrów nad poziom morza. Podwodny obecnie, chociaż w czasie formacji, wyższy zapewne łańcuch gór, łączy tę wyspę z sąsiadującą z nią Vanua-Leva w wielu znowu punktach głębokość wód dosiada od pięciuset do dwóch tysięcy metrów.

Dawniejszą stolicę Lewuka na pobliskiej wyspie Ovalanu zajęli Anglicy na główny punkt swego handlu, obecnie zaś pierwszym miastem tegoż nazwiska jest Suva z portem przedstawiającym doskonałe warunki dla przybywających okrętów; tutaj więc też skierował swą wyspę komandor Simoe.

Ponieważ przybycie bogatej Standard-Island może być korzystnym interesem zarówno dla krajowców jak i kolonistów, przeto gubernator otrzymuje z łatwością pozwolenie zatrzymania się u tych brzegów. Nie trzeba jednak zapomnieć, że jedynie rachunek jest główną pobudką uprzejmego przyjęcia, gdyż Fidżianie zostają pod nieprzyjawnym dla Standard-Islandu protektoratem.

Pomiędzy pierwszymi, którzy kazali się przeprawić na ląd wyspy, znajdują się naturalnie francuscy artyści, ciekawi poznać osobiste te ziemie. Na których jeszcze nie tak dawno kwitło w całej pełni okrutne ludożerstwo.

Pouczony przez komandora Francolina, służy towarzyszom swoim wiadomościami; gdy jednak Ponchard wierny swemu usposobieniu, stara się go ośmieszyć nazwą etno-razenteografa, Sebastian słucha z uwagą trafnych objaśnień drugiego skrzypka.

— Nie ulega wątpliwości — odzywa się w końcu jego ekscelencya, iż przybywamy tu zapóźno, bo zdenerwowani cywilizacją krajowcy, zdają się obecnie gustować nadewszystko w przysmażaniu z kureczęcia lub pieczeni wieprzowej...

— A szkaradny ludożerco, zasługiwałbyś, aby cię podano na stół króla Thakumbu! — woła Francolin.

— Ho, ho, potrawka z Poncharda, to przysmak nielada — żartuje Yvernes.

— Może byłoby dosyć tej próżnej gadaniny — odzywa się Sebastian — bo czas uchodzi...

— I nie zdążymy poznać tego ciekawego kraju, — kończy Ponchard. Masz słuszność przyjacielu, a zatem: w lewo zwrot i śmiało naprzód!

Miasto Suva, rozłożone na pochyłości wzgórza, przedstawia się dość dodatnio ze swemi europejskimi zabudowaniami, z których kilka nawet jest piętrowych; nieco dalej rozkładają się chaty tuziemców ze spiczastemi dachami z liści palmowych, zdobnych w układane w różne desenie muszle, i tak trwałymi, że dają zupełnie bezpieczeństwo nawet w czasie pory słotnej wyjątkowo burzliwej i obfitej w ulewę, a trwającej od maja do października. Nie rzadko też zdarzają się wypadki jak w 1871 roku, w którym całe miasteczko zalane zostało wodą deszczową.

Tak samo jak inne wyspy tego archipelagu, Viti Levu ulegając różnym warunkom klimatycznym, posiada roślinność bardzo urozmaiconą, stosownie do położenia wybrzeży. Tak więc strona wystawiona na wiatr południowo-zachodni, mając powietrze wilgotne, obfituje w bogate lasy, podczas gdy na przeciwległej, rozciągają się obszerne sawanny, podatne do wszelkiej uprawy z wyjątkiem herbaty i bawełny, które to rośliny nie udają się na tym gruncie czerwono gliniastym, powstałym z rozkładu popiołu wulkanicznego.

Prawdopodobnie też wskutek zmian klimatycznych, niektóre gatunki drzew jak sandałowe i „dakua” rodzaj sosny właściwej tylko wyspom Fidżi, zatracają się zupełnie. Pozo-

stała jednak flora, jest nadzwyczaj bogatą i artyści francuscy podziwiać mogą ciekawe okazy storczyków, rosnących pasywnie na wysmukłych pniach palm, obok pięknych pandanów, kazuarinów, akacyi i drzewiastych paproci, gdy znowu w miejscowościach błotnistych, zwracają ich uwagę rosnące w wielkiej liczbie drzewa manglii których korzenie wiążące się w dziwne sploty ponad ziemią, tworzą trudne do przebycia zapory.

Świat zwierzęcy przedstawia tu głównie kilka gatunków ptaków, a mianowicie barwnych papug, oraz pewnej odmiany miejscowego kanarka; znaczną wszakże jest też liczba nietoperzy, nieprzeliczona moc jaszczurek, całe armie szczurów, a wreszcie kilka odmian płazów, pozbawionych jadu. Przeto nieszkodliwych zupełnie. Gdy jednak drapieżnych zwierząt niema ani śladu, Ponchard nie może się powstrzymać od żartobliwych swych dowcipów.

— Zaiste — mówi raz do Kalikstusa — nasz prezydent powinien był zachować choćby po jednej parze lwów, tygrysów i krokodyli dla tego archipelagu; taki dar zresztą byłby tylko splecionym długiem, biorąc w rachubę, że ziemie te należą do królestwa Wielkiej Brytanii...

(d. c. n.)

Z DALEKIEGO ŚWIATA.

Głuchoniemy podróżnik. — Doświadczenia z gołębiami. — Nurkowie.
— Woda gorąca w Paryżu.

Wymownym dowodem, jak przy wytrwałości radzić sobie można doskonale, nawet, dotkniętym będąc kalectwem, jest Holender Albert Boijardo, który niedawno zwiedzał Warszawę, przybywszy tu na welocypedzie. Głuchoniemy od urodzenia. wychowaniec instytutu w Amsterdamie, w 30 roku życia puścił się w podróż, która jak dotąd powiodła mu się jak najlepiej. Wyruszywszy z Holandyi w sierpniu, zwiedził Hamburg, Berlin, Lipsk, Wrocław i w końcu października stanął w Warszawie. Dla zasięgnięcia potrzebnych sobie informacyi, udał się najpierw do Instytutu Głuchoniemych, którzy podemowali go następnie w gospodzie swej przy ulicy Pivnej. Zwiedził potem klub cyklistów, jako miłośnik tego rodzaju sportu i główne części miasta, oraz wszystko co w niem znaleźć się może godnego widzenia. Po kilku dniach wyjechał do Kijowa, Moskwy i Odesy, skąd ma się udać do Turcyi, Austryi, Włoch, Szwajcaryi, Francyi i Hiszpanii. Później przeprawi się do Afryki, lecz ma obawę, czy znajdzie tam odpowiednie drogi do jazdy na rowerze. Z Afryki pojedzie okrętem do Montevideo, dalej przez Brazylię, Kolumbię, Panamę do Meksyku, a następnie do Stanów Zjednoczonych. Podróż cała ma trwać dwa lata.

Robiono obecnie doświadczenia z przelotem gołębi przez Ocean. Pewny statek sprowadził z Bostonu do Londynu dziewięć gołębi, które w tem ostatniem mieście wy-

puszczono w trzy miesiące później. Gołębie nie zapomniały drogi i trzy z nich zdołały przebyć Ocean. Jeden przyleciał wprost do Bostonu, drugiego odnaleziono w pobliżu New-Yorku, a trzeciego w górach Alleghany. Naturalnie, że wszystkie miały znaki po których je poznano. Reszta z nich zginęła w drodze czy to z wycieńczenia, czy też stawszy się pastwą drapieżnych ptaków na wyspach, gdzie mogły się zatrzymać w drodze, czy też u kresu podróży.

W marynarce angielskiej istnieje cała legia nurków. Każdy okręt posiada własnego nurka, pancerniki i krążowce mają ich po dwóch, jednego do zapuszczania się w głąb morza, drugiego do obsługiwania pompy. Otrzymują oni wynagrodzenie za każdą godzinę przepędzoną w morzu, stosownie do głębokości, w której pracują. Pracując np. w wodzie głębokości 1 do 5 stóp, otrzymują szylinga *) na godzinę, w głębokości 5 do 19 stóp: dwa szylingi, w głębokości 25 do 28 stóp: sześć szylingów za pierwszą godzinę i po cztery szylingi za następne. Każdy okręt musi mieć nurka, któremu zresztą nie brak nigdy roboty, gdyż naprawiać wszelkie uszkodzenia na spodzie okrętu i wydobywać zatopione w czasie manewrów przedmioty, jak torpedy, kotwice i t. p. Niekiedy wzywają pomocy nurków i okręty kupieckie. Wolno im bowiem pracować dla wszystkich, tylko w takich wypadkach muszą płacić gwineję do kasy administracyi za wypożyczenie ubioru. Ponieważ poszukiwania tego rodzaju, gdy chodzi o wydobyć trudnych do odnalezienia przedmiotów wartościowych — bywają dość niebezpieczne, nurkowie stawiają wtedy własne ceny, i otrzymują płacę, jakiej żądają. Raz jeden z nich w ciągu pół godziny zarobił 50 funtów **) Udało mu się bowiem wydobyć dwie szkatuły, z których każda zawierała 30,000 dolarów. Podczas pobytu nurka na dnie morskiem, zdarzają się niekiedy niebezpieczne dla niego przygody. Niedawno np. jeden z nich o mało nie utracił życia z powodu, że przepłynął nad nim wielki parowiec i nie będąc w stanie oprzeć się wytworzonemu stąd prądowi, odrzucony został tak silnie na bok, że przez kilka minut leżał na dnie morskim jak nieżywy. Wydobyto go wreszcie na okręt i choć nie odniósł żadnego wewnętrznego obrażenia, był tak chory, że po tygodniu dopiero przyszedł do zdrowia.

Na ulicach Paryża od niejakiego czasu zaopatrują mieszkańców w gorącą wodę automaty. Automaty te mają formę słupów wysokości 16 stóp, w których pewna ilość wody utrzymuje się w stanie gorącym, ogrzewana stale gazem. Drobną moneta wpuszczona w szczelinę wywołuje silny płomień, przy którym woda w półtorej minuty ogrzewa się do wysokości 60 stopni Celsjusza, poczem wlewa się przez kran w ilości ośmiu litrów do naczynia, przyniesionego przez właściciela monety. Powodzenie tych automatów było tak wielkie, iż liczba ich zaczęła szybko wzrastać.

*) Szyling moneta wynosząca około pół rubla.

**) funt wynosi około 10 rubli.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Napad lamparta na zebę (z drzew.) — W pustyniach Australii, przez Władysława Umińskiego. — Piana morska. — Syn marnotrawny przez E. Jerlicza. — Ojców (z drzew.) — Cudowna wyspa, najnowsza powieść Juliusza Verne'a, przekład p. M. D. (z drzew.) — Z dalekiego świata. — Dodatek: Dwa koguty, wiersz p. E. L. (z drzew.) — Historia grudki ziemi. — Baśń o białym gołąbku i wielkim kamieniu przy cmentarnych wrotach p. Z. Morawską — Bajka Agaty. — Łamigłówki i rozwiązania — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Perły ciotki Klotyldy przez autorkę „Małego lorda”, przekład z angielskiego J. K.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доводено Ценаурою, Варшава 21 Октября 1895 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE



DWA KOGUTY.

Stary kogut oddawna ceniony w kurniku,
Powrócił raz z podwórka w niezwykłym zapale.
I wzbronił swym podwładnym, głośnie: „Kukuryku!”
By się żadne z nich na dwór nie ruszało wcale.
Usłuchały go chętnie kurczęta i kury
Powstrzymując odrazu przechadzki zapędy,
Tylko jeden kogucik zuchwalszej natury,
Nie zważając na rozkaz frunął sobie z grzędzy.
A gdy stary go zwykłym chciał skarcić sposobem
Wyciągnął cienką szyjkę z miną śmiesznie śmiałą
I nastrzępił pstre piórka żółtym grożąc dziobem,
I ruszył, skoro tylko drapnąć się udało.
Stary spojrział z pogardą na małego gbura,
Lecz wprzód jeszcze nim z drogi zawrócić go zdążył,

Złowieszco tuż w pobliżu zaszumiały pióra
Jastrzębia, co od rana nad folwarkiem krążył.
Drapieżny ptak dostrzegłszy kurczę bez obrony,
Przesunął się tuż nad niem niby szara chmurka,
I w wątlę jego grzbiecie zatopiwszy szpony,
Sypnął skrwawionem pierzem na środek podwórka.
Wówczas biedak łupieczy padając ofiarą,
Nad własnym nierozsądkiem boleśnie się zdumiał,
Bo poznał że śmierć jego była słuszną karą,
Za to, że rad zbawiennych ocenić nie umiał.
Zginał marnie kogucik, płacząc po niewczasie,
Że sam sobie był sprawcą tak okrutnej doli.
Lecz może jego przykład komuś z dziątek zda się,
Gdy zechce mądrej starszych sprzeciwić się woli.

E. L.

HISTORYA GRUDKI ZIEMI.

Leżała na drodze twarda grudka ziemi. Grudka ta z pewnością nie żyła, nie czuła; była martwym minerałem.

Przyszedł chłopczyk, bawiąc się, rozgniółł grudkę

nogą, a pył rozrzucił po sąsiednim polu. I jak też myślicie, co stało się z pyłem?

Oto po deszczu pyłek rozpuścił się w kropelce wody, tę wodę roślinka wessała korzonkami i stała się gałązką pachnącej trawy. Cudowna rzecz, grudka ziemi zamieniła się w roślinkę. Roślinka żyła, oddychała, piła rosę niebieską i soki ziemi, wyrosła, zakwitła, tylko stała zaw-

sze na tem samem miejscu, nie mogła się ruszać. Tem właśnie różniła się od zwierzęcia. Ale nie tu jeszcze koniec historii. Przez pole, na którym rosła trawka, przebiegł zajęczek, przysiadł, chrupnął parę razy i trawka zniknęła w jego żołądku.

Czy chcecie wiedzieć, co się z nią stało dalej?

Oto w żołądku zwierzątka przetworzyła się w parę kropelkę krwi, później trochę, krew ta zamieniła się w mięśnie i stała się częścią zajęczka, zwierzęcia, które biega i skacze w trawie.

Minerał, roślina, zwierzę! oto jakie dziwne przemiany przeszła grudka ziemi.

J. R.

BAŚŃ

O BIAŁYM GOŁĄBKU I WIELKIM KAMIENIU PRZY CMENTARNYCH WROTACH.

p. Z. MORAWSKĄ.

(Dalszy ciąg).

— Ach, żeby tak chociaż kropelka wody! — pomyślał sobie — łatwiejby mi otrzeźwił Basiule!

Zaszeleściło coś koło niego, obejrzał się a tuż przy nim stoi dzbanek z wodą. Nalał na ręce wody, roztarł siostrzyczce skronie, wlał jej nieco wody w usta i jakoś biedaczka otworzyła oczy.

— Basiulu, Basiulu! — mówił radośnie Michałek — jesteście w chacie, ogień się pali, ocknij się jeno.

Basia powoli poczęła się rozglądać, wreszcie podniosła główkę i usiadła.

— Ach, dzięki Ci o Boże, pewnie jakaś dobra gospodyni przyjęła nas na noc do siebie! — rzekła cichutko.

— Ale, jaka tam gospodyni, pustka zupełna, nawet wieczery niema — odrzekł Michałek, i wyduł usta pogardliwie. I zaraz dodał:

— Gdyby nie to żeś upadła, nie byłbym wszedł do tego pustkowia! — rzekł opryskliwie.

— Dziękujemy Bogu za to co jest — odrzekła pokornie Basiula.

— Phi, jest też i za co! — odrzekł, kręcąc głową.

— Cicho, cicho, braciszku, prześpiemy się, może też nadejdzie gospodyni, to nas jutro czem pożywi.

Wtem zaszumiało coś dokoła, jakby ptak zaszeleścił skrzydłami, a na stole ukazały się dwa kubki mleka i dwa kawałki czarnego chleba.

Michałek pochwycił chleb w jedną rękę a kubek w drugą i nie myśląc wcale o siostrze, chciwie go niósł do ust.

Ale tak jakoś niezgrabnie wziął za uszko, że połowę mleka wylał na ziemię, a chleb wypadł mu z ręki.

— A czy... i chciał coś złego powiedzieć, ale jakoś się powstrzymał, zawstydził i zamiast wypić mleko, postawił niepełen kubek na stole, a wzięwszy drugie mleko i chleb podał je siostrze.

— Dziękuję ci braciszku — rzekła Basiula, która była tak osłabiona, że się ruszyć z miejsca nie mogła.

— Ale tyś swe mleko rozlał, to ja ci ze swego kubka doleję... — dodała.

— Nie trzeba, będę miał dosyć! — mruknął — zawstydzony.

I podniósłszy kawałek chleba z ziemi usiadł przy kominie i z nachmurzoną miną dopijał reszty mleka, zagryzając chlebem.

Basiula posiliwszy się mlekiem, odzyskała siły a wstawszy z ławy, rzekła:

— Podziękujemy teraz Bogu, że nas jakoś z tej smutnej, czarnej wsi wyprowadził i od głodu ochronił.

I zaraz uklęknął.

Michałek mruknął coś niezrozumiale, podrzucił jednym ramieniem i patrzył w ogień z miną nadętą.

Widząc jednak, że siostra nie zaczyna pacierza, lecz wciąż ogląda się na niego, ukląkł przy niej, przeżegnał się jak gdyby muchy opędzał i niby to się modlił, ale wciąż oglądał się po izbie. Gdy wstali od pacierza, Basiula rzekła:

— Widzisz braciszku, mama umierając mówiła: „ufajcie Bogu i za wszystko Mu dziękujcie” gdybyśmy jej nie słuchali, płakałaby tam pod mogiłą, a może i kochać nas przestała...

A gdy to mówiła, zaszumiało coś w izbie, jakby ptak skrzydłami zaszeleścił, a w serduszkach Basiuli i Michałka radość zadrżała, jakiej już od śmierci matki nie doznawała. Natomiast Michałek obejrzał się ponuro dokoła, a w sercu miał taki niepokój, że nie mógł usiedzieć na miejscu.

Powstał też i zaczął chodzić, ale zaledwie kilka kroków postąpił, ujrzał w kącie izby łóżeczko białą pościelą zasłane.

— Aha — rzekł sam do siebie i chciał położyć się na łóżku, ale przypomniał sobie, że siostrzyczka jest chora i znużona, zawstydził się więc sam siebie i rzekł:

— Basiulu, idź połóż się, tam o to łóżko posłane.

— A ty? — spytała dziewczynka.

— Co ci do mnie, idź spać!

I nie patrząc na siostrę, rozciągnął się na szerokiej ławie nieopodal komina.

Basiula zdjęła z siebie podarte odzienie i obuwię i z największą radością położyła się na czystutkiem posłaniu, na jakim już od śmierci matki nie spała.

Przykro jej było, że Michałek spał na ławie, ale bała się nawet do niego odezwać, żeby jej znów jakimś brzydkim słowem nie odpowiedział.

Na drugi dzień Basiula wstała raniutko, na miejscu swej podartej odzieży i trzewików znalazła nowe czystutkie. Nie śmiała tego dotknąć, lecz, że nie miała się w co odziać, włożyła więc to, co znalazła. Podziękowała też Bogu za ten nowy dowód Jego opieki, posłała łóżko, zamiotła izbę i myślała sobie:

— Jak przyjdzie gospodyni, znajdzie wszystko w porządku.

Ale gospodyni nie przychodziła, a Michałek spał tak smaczno na twardej ławie, jakby na najmiększej pościeli.

Nie budziła go więc, tylko wzięła dzbanuszek i wyszła po wodę.

Strach ją trochę przejmował, bała się zobaczyć ten szereg chat milczących i dotknąć stopą tej twardej trawy po kótorej wczoraj stąpała.

Ale jakież było jej zdziwienie, gdy ujrzała, że chata stoi zupełnie samotna, przed nią maleńki ogródek, w nim pełno różnego ziela, a ptaszki cir, cir, wołają.

— Aha — pomyślała sobie — ta ponura wieś, znać daleko bardzo za nami została.

Zaczerpnęła wody ze studzienki, podlała kwiatki a widząc, że między niemi chwast brzydki wyrasta, wzięła się do pielienia.

Żwawo jej szła robota a słońko wzbiło się coraz wyżej.

— Trzeba obudzić Michałka! — pomyślała sobie i wróciła do chaty.

Michalek już nie spał, siedział na ławie i ponuro spoglądał przed siebie.

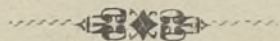
Spojrzała na stół, stoją znów dwa kubki mleka i przy każdym kawałek czarnego chleba.

— Patrz, braciszku, mamy znów śniadanie.

I wzięwszy kubek z mlekiem i kromkę chleba podała Michałkowi.

Michalek nie podziękował nawet siostrze, tylko począł zajaść.

(d. c. n.).



Bajka Agaty.

(Dalszy ciąg).

— Najstarsza córeczka, miała rok siódmy, imię jej było Pocieszka, bo rzeczywiście była ona pociechą i radością w domu. Mamę wyręczała w czem mogła, zabawiła młodszego rodzeństwo, a gdy się zdarzyło czasem, że dzieci były niegrzeczne, Pocieszka umiała wszystko załagodzić i uspokoić. Jednego braciszka pocałowała, drugiemu powiedziała bajeczkę, najmłodszej siostrzyczce ubrała lalkę, że mama uszczęśliwiona z tak dobrej córeczki, przyciskała ją do serca i mówiła:

— Moja ty Pocieszko najmilsza, jesteś prawdziwą moją pociechą.

Helenka szyjąc, słuchała pilnie, pomyślała sobie jednak, że ta najstarsza córeczka królowej z za siódmego morza, wcale do niej nie podobna.

Ona, lubiła się często braciszkom sprzeciwić, a gdy byli niegrzeczni, zamiast ich uspokoić, śmiała się serdecznie, z tego, że malcy wyglądali jak dwa zaperzone kogutki.

Prawda, też że jej mama nigdy jeszcze nie nazwała swoją pociechą, a jednak, musi to być bardzo miło.

Pociecha mamusi! Jakże to brzmi ślicznie. Helenka westchnęła.

Agata mówiła dalej:

— Dwaj synkowie króla i królowej byli bliźniaczkami...

— To jak my! — przerwali chłopcy razem.

— A tak — potwierdziła Agata — otóż tym synkom król dał imiona także bardzo ładne, bo jeden nazywał się Dzielny, a drugi Śmiały. Ale bo też chłopczyki odpowiadali zupełnie takim imionom...

— To jak my — przerwał Józio.

— A tak, jak my — dodał Wicio.

— Zobaczymy — mówiła Agata. — Otóż bracia bliźniaczkami byli zawsze grzeczni, nie bali się iść do ciemnego pokoju, a gdy król posłał którego aby mu przyniósł co z gabinetu, Śmiały biegł przez duży salon bez świecy, bo wiedział, że u ojca-króla pali się lampa, więc znajdzie to, po co był posłany.

— A tyś się wczoraj bał iść, gdy cię tatuś posyłał po papierosy — rzekł Wicio — aż płakałeś, to już pewnie nie o nas ta bajka.

— Dzielny — mówiła Agata — był chlubą swego ojca, który mówił, że Dzielny, pewnie królem zostanie. Dzielny nigdy nie płakał, nigdy nie grymasił, rano biegł sam do miednicy aby się obmyć zimną wodą, ubierał się spiesźnie, przy śniadaniu jadł co mu dano, nie wymyślając sobie rzeczy których na stole nie było, a gdy raz skaleczył się w palec, to choć go bolało i krew się sączyła, stał spokojnie gdy mamusia paluszek opatrywała i ani mruknął.

— To nie tak jak ty — rzekł Józio — bo ty jak się skaleczyłeś tylko troszeczkę, toś krzyczał, tupał nogami, a gdy mamusia palec ci zawijała gałgankiem, toś tak głośno płakał, że tatuś powiedział: ach, cóż to za mazgaj z tego chłopca.

Wicio zaczerwienił się, rączka mu zadrżała, a nos na portrecie Franciszki, zrobił się przez to podobniejszym do szklanki aniżeli do nosa.

Po tej uwadze, którą Józio wypowiedział cichym głosem, żeby tylko przez brata być słyszany, chłopcy z większą energią zabrali się do swej pracy, a Agata mówiła dalej:

— Najmłodszej córeczce króla i królowej imię było Dobruchna, bo też rzeczywiście była dobrą jak aniołek, do których takie małe dziatki powinny być podobne. Dobruchna miała zawsze minkę wesołą, nigdy o nic nie płakała...

— Aha — przerwał Józio — to nie tak jak nasza Rozalka.

— O! nie tak — dodał Wicio — na Rozalkę palec zakrzywić, to płacze aż się rozlega.

Dziewczynka zaczęła mrugać oczkami, bo już poczuła w nich łezki, wstrzymywała się jednak jak mogła, co widząc Agata mówiła dalej:

— Że Dobruchna nigdy nie płakała to prawda, ale bo też starsze rodzeństwo strzegło się bardzo, aby małej siostrzyczce nigdy przykrości ani jednym słówkiem nie zrobić! Jeżeli widzieli, że dziecko czego posmutniało trochę, to Pocieszka zaczęła jej mówić coś wesołego, Śmiały przyprowadził jej swego dużego konika na biegunach, Dzielny sadzał ją na wierzchowca, dawał w rączki cugle i bacik, a uszczęśliwiona Dobruchna, śmiała się do braciszków, mówiła, że ich bardzo kocha, dawała im buzi a król i królowa patrząc na to mówili:

— Jakież my dobre mamy dzieci!

Przy jedzeniu nigdy żadnych nie było grymasów, to lubię, tego nie lubię; co im mama kazała podać to jedli, jeszcze podziękowali ładnie.

— Ta bajka Agaty to wcale nie wesoła — rzekła

Helenka — myślałam, że to będzie co ciekawego, a to, tak... na bajkę niepodobne.

— Żadna bajka takie opowiadanie — rzekł Józio.
— To mi bajka — dodał Wicio.

Jedna tylko Rozalka, postawiwszy ostatnią już kamienicę, rzekła prosząco:

— Jeszcze o tej Dobruchnie, lubię ją, żeby ona tu przyjechała, bawiłybyśmy się razem.

Agata zdjęła okulary, spojrzała po dzieciach i rzekła:

— To dopiero początek bajki, myślałam, że wam się to podoba, ale kiedy nie, to mówić dalej nie będę.

— Mówić, mówić — prosiła Rozalka.

(d c. n).

SZARADA.

przez E. M.

Pierwsza i druga, dźwiękiem zupełnie jednaka,
Tworzy nazwę dla serca dzieci zawsze drogą;
W trzeciem zaś wąsatego miano skorupiaka,
Co malców zaciekawia i przejmuje twogą.
Wszystko, roślina między obrazkowatemi.
Która z Azyi pochodzi; u nas także rośnie,
Zdobi nam brzegi wodne liśćmią gęstemi,
I chaty co rok o wiośnie.

ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

ułożyła Polna Różyczka.

... Zastąpić kropki literami
... i ułożyć wyrazy których
... pierwszy wiersz, oraz pierwsze
... litery, złożą nazwę wyspy afry-
... kańskiej na Oceanie Indyjskim.
Wiersz 2: Główny wódz grecki w woj-
... nie trojańskiej. 3) Dworak Dyonizego
... z Syrakuzy. 4) Część świata. 5) Miasto nad
... ujściem Wisły. 6) Pasma gór w Azyi. 7) Pra-
... wy dopływ Dunaju. 8) Zwierzę domowe. 9) Na-
... zwa karty do gry. 10) Spółgłoska.

ZADANIE KONIKOWE.

ułożył Wróbelek.

co	Nie	gie
dru	mi	to
bie	mu	czyń
ło	*	nie

ROZWIĄZANIA DO N-ru 43-go:

Szarady: Da — ma — szek.

Łamigłówek krysztalowej:

W
l i s
W i s ł a
c ł o
a

Niteczki Aryadny:

Któż konno w północnej pospiesza zamieci?
To ojciec z swem dzieckiem wyruszył i leci.
I ujął chłopczynę w przesilne ramiona,
I trzyma go mocno i tuli do łona.

Król olch.

Skrzynka do listów.

Uprzejmy z ciebie ptaszek *Wróbelku*, skoro pragnąc przy-
sporzyć rozrywki swoim współczelnikom, chwile wolne poświęcasz
na układanie szarad i łamigłówek, któremi tak hojnie zaopatrujesz
naszą Redakcję. Dziękujemy ci za dobre chęć, korzystamy z nich
w przekonaniu, że ta zabawa w niczem zajęciom twoim uszczerbku
nie przynosi, bo sądzimy, że wiesz, iż obowiązku dla przyjemności
nigdy poświęcać nie wolno.

Kamiennemu sercu donosimy, że pierwszy kwartał roku ze-
szłego zupełnie jest wyczerpany, i przez to żądaniu przesłania
całego rocznika zadość uczynić nie możemy, co zaś do dodatków,
należy wypisać tytuły powieści jakie mieć pragniesz, i wtedy do-
piero powiemy czy są jeszcze do nabycia i za jaką cenę.

Przypadająca ci nagroda wysłana już została kochana *Wi-
sienko*. Pragniemy aby ci była zachętą do dalszych postępów w pra-
cy, przypominając zarazem spełnienie dobrego uczynku, jakim jest
ofiara odzieży dla ubogich dzieci.

Datek twój *Jadwigo*, z wdzięcznością przyjęty został.
Znasz przypowieść o groszu wdowim z Ewangelii, wiesz zatem, że
nie ilość datku zasługę stanowi. Skoro w swej doli sierocej pamię-
tasz o nieszczęśliwych modlitwa ich niewątpliwie wyprosi ci u Boga
ukojenie i pociechę w smutku.

Przesłałaś mi uprzejme pozdrowienie *Lewkonio różowa*, za
pośrednictwem łaskawem trzeciej osoby. Oceniam ten dowód pamię-
ci dla małej ptaszyny, ale wolę kilka wierszy własnoręcznie
do mnie napisanych, gdyż życzliwość okazywana mi przez moje
korespondentki uczyniła mnie wymagającą. Sama też pewno przy-
znasz, że list od miłych znajomych, bardzo jest przyjemnym, gdyż
wymiana myśli zawsze pożądaną bywa, i o nią też u swych przyja-
ciółek dopomina się niezmiennie im życzliwa.

Jaskółka.